Nr. 6. Lwów, 15. marca 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

W dwudziestopięcioletnią rocznicę.

(Ciąg dalszy).

Zatrzymaliśmy się z umysłu dłużej nad szczegółami wniosku Wydziału Towarzystwa, aby przypomnieć naszym czytelnikom, że Wydział poruszył cały szereg ważnych spraw, i że wielka szkoda, iż tak mało propozycye Wydziału znalazły uwzględnienia.

W r. 1890 ustawa nie weszła pod obrady Sejmu -- nie było na to czasu. W r. 1892 w marcu wnosi Wydział Towarzystwa po przeprowadzonej na dwóch posiedzeniach rozprawie obszerną, umotywowaną petycyę do Sejmu, w której zwrócił jego uwagę na złe strony projektu rządowego, wniesionego do Sejmu, a mianowicie na zawarte w nim niektóre postanowienia, które chociaż może gdzieindziej stosowne, nie odpowiadały stosunkom i potrzebom naszego kraju i mogłyby się stać szkodliwemi, gdyby im moc prawa nadano. I znowu poruszył tu Wydział sprawę odszkodowania za szkody przez zwierzynę zdziałane, sprawę kart łowieckich i sprawę władz, mających rozsądzać przekroczenia przepisów proponowanej ustawy łowieckiej. Projekt

ustawy nie doczekał się i w r. 1893 załatwienia — został odesłany jeszcze raz Wydziałowi krajowemu do zbadania i ewentualnego wniesienia na najbliższej sesyi. Wydział krajowy wniósł rzeczywiście ustawę na sesyi Sejmu w r. 1894. Za podstawę przyjął Wydział elaborat swój z r. 1887 z pewnemi zmianami, tak pod względem wewnętrznego podziału materyi na działy, jakoteż pod względem odmiennego sposobu wykonania niektórych przepisów. Podział materyi został przyjęty według projektu rządowego, co się zaś tyczy zmian, to wprowadzono przedewszystkiem pominiętą zupełnie w projekcie ingerencyę władz autonomicznych przy wykonywaniu ustawy. W projekcie tym znalazły miejsce niektóre postanowienia, o które się Wydział Towarzystwa łowieckiego w memoryale swym z d. 20. marca 1892 r. upomniał. Równocześnie z zebraniem się Sejmu z r. 1895 zwołał prezes Towarzystwa, hr. Roman Potocki, posiedzenie Wydziału, na którem wybraną została ściślejsza komisya, mająca czuwać nad losami wniesionej ustawy. Na posiedzeniach tej komisyi, a następnie na dwóch liczniejszych zebraniach wybitnych znawców łowiectwa, przy współudziale referenta ustawy łowieckiej w sejmowej komisyi administracyjnej, posła Adama Jędrzejowicza, rozebrano jeszcze raz szczegółowo cały projekt. Uznano go znacznie lepszym od projektów dawniejszych. Na posiedzeniach z d. 28., 29. i 30. stycznia r. 1896 uchwalił Sejm tę ustawę nie bez licznych utarczek, i w ustawie tej, w §. 35 znalazł się ustęp, który był zaszczytnym dla Towarzystwa łowieckiego, lecz zarazem nakładał na nie obowiązek żywotności i czujności w wysokim stopniu, postanawiał bowiem, że w pewnych sprawach, odnoszących się do ochrony zwierzyny władze administracyjne mają zasięgać opinii Towarzystwa. Opozycya atakowała ustawę bez znajomości przedmiotu i puszczając się na flukta walki klasowej, przekręcając nawet jasne postanowienia ustawy, aby w sposób agitacyjny przedstawić tem czarniej krzywdy, wrzekomo ludowi wyrządzane. O tem, że ustawa zapewniała słuszne odszkodowania właścicielowi gruntu, za szkody przez zwierzynę zdziałane, opozycya zapomniała, jak również o tym ważnym szczególe, że podniesiony stan zwierzyny oznacza także podniesienie się materyalnych korzyści gmin wskutek lepszych czynszów dzierżawnych. Opozycya dążyła bezwzględnie do zupełnego wytępienia wszelkiej zwierzyny łownej, ze szkodą dla bogactwa krajowego, a więc do wymazania łowiectwa w życiu towarzyskiem i społecznem.

Natychmiast po uchwaleniu ustawy, po rozbudzeniu nadziei, że dla łowiectwa lepsza przyszłość zajaśnieje, rozpoczął Wydział Towarzystwa przygotowania do reorganizacyi Towarzystwa i to w taki sposób, żeby mogło ono być ważnym czynnikiem przy dopilnowywaniu, aby przepisy ustawy ściśle były wykonywane. Wiceprezes Towarzystwa, Ordynat Czarkowski-Golejewski, zajął się gorliwie sprawą reorganizacyi i nie ustał w pracy, aż do chwili, kiedy reorganizacya ta z jak najlepszym skutkiem do końca doprowadzoną została. Jego pomysłem było urządzenie zjazdów łowieckich, z których pierwszy odbył się w r. 1897, a które jak wiadomo naszym czytelnikom, co roku odtąd się odbywają i prawo obywatelstwa uzyskały. Instytucyą delegatów, regulaminem dla nich zajęto się gorliwie, a kiedy ustawa uzyskała sankcyę monarszą, już i Towarzystwo łowieckie, uzbrojone nowym statutem, rozpoczęło nowy okres swojej pracy. Zachęceni przykładem prezydyum i wydziału delegaci rozpoczęli zjednywać dla Towarzystwa członków i wkrótce obok sztandaru łowieckiego zebrał się zastęp łowców, przewyższający cyfrę tysiąca. W miarę jak przybywało członków, zaczęły się także poprawiać materyalne stosunki Towarzystwa, długi, zaciągnięte w okresie apatyi, jaka zapanowała w czasie niepewności co do losów ustawy, znikały w dosyć szybkim tempie i dzisiaj Towarzystwo, udowodniwszy swoją żywotność dostatecznie, może wystąpić silnie w walce o swoje prawa, tem więcej, że liczba członków codzień się zwiększa, wskutek czego i stanowisko Towarzystwa codzień się wzmacnia.

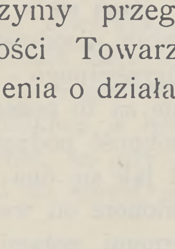
Ustawa sama, jak każde dzieło ludzkie, posiada wady. Ostatnie roczniki „Łowca“ zawierają znaczną ilość artykułów, w których niektóre postanowienia poddane są krytyce. Sprawozdania z walnych posiedzeń i obrad zjazdów łowieckich zawierają również wiele uwag co do braków w ustawie łowieckiej, a sprawa święcenia niedzieli i świąt, pozbawiająca pewną część świata łowieckiego możności oddawania się zabawie myśliwskiej, wywołała nawet ze strony Towarzystwa energiczne kroki, mające na celu zmianę przepisów pod tym względem, kroki, które dotychczas nie przyniosły rezultatu. Nie zatrzymujemy się przy kreśleniu tej części dziejów Towarzystwa dłużej, gdyż są one świeże i każdemu nawet z najmłodszych członków Towarzystwa znane — nadmieniamy tylko, że za dokonanie reorganizacyi Towarzystwa, podziękowało ono swojemu Prezesowi i Wiceprezesowi udzieleniem im godności członków honorowych. Gdy zaś długoletni przewodnicy, wobec faktu, że czynności, wymagające

ich bezpośredniego udziału w pracy się zwiększyły, a odległość miejsca zamieszkania przeszkadzała im niepomiernie w tej pracy, godności swoje złożyli, nie wcześniej jednak, aż reorganizacyi Towarzystwa dokonali, przeszło przewodnictwo Towarzystwa w ręce hr. Stanisława Stadnickiego, który z całą energią pracę tę podjął i z jak największą troskliwością sprawami Towarzystwa się zajmuje. Sprawozdania z odbywanych pod przewodnictwem szanownego Prezesa posiedzeń Wydziału, które podajemy zawsze „Łowcu“, świadczą, że pod tem kierownictwem myśl przewodnia, która inicyatorom założenia Towarzystwa i ich następcom przeświecała, szybszem tempem zdąża do celu. Zapewnienie większej opieki nad łowiectwem ze strony władz, powołanych do przestrzegania ustaw łowieckich i wywindykowanie pewnej części funduszów, które myśliwi przy opłacie kart łowieckich składają, na cele łowieckie — oto dwa główne zadania, do których praca Wydziału zdąża. Należy mieć nadzieję, że uwieńczoną ona zostanie pomyślnym skutkiem — a wtedy stanie sprawa łowiectwa krajowego tak wysoko, jak jeszcze dotąd nigdy nie stała.

Jak wiadomo, nie brak zapędów, dążących do zniszczenia tego, co z takim trudem przez ćwierć wieku społeczeństwo łowieckie zdziałało — dowodem ostatni wniosek w sprawie zmiany ustawy łowieckiej — mamy jednak nadzieję, że zdrowy rozsądek społeczeństwa jeszcze na tak długo tę gałęź gospodarstwa krajowego obronić potrafi, aż, jak się na to zanosi, te społeczeństwa zachodnie, które łowiectwo za przywilej uważały i opiekować się nim przestały, przekonawszy się, że w ten sposób wyrządziły sobie samym szkodę, zawrócą z tej drogi i powstrzymają naszych zwolenników „wolnego“ polowania od wykonywania doświadczeń, które gdzieindziej szkodliwemi się okazały.

Na tem kończymy przegląd dwudziestopięcioletniej działalności Towarzystwa i przechodzimy do wspomnienia o działalnośęi jego organu.

C. d. n.



Do pierwszego bociana.

Już powróciłeś w gościnne progi,
Z czerwonym dzióbem — bocianku drogi!
Choć nie nastała wiosna prawdziwa,
Lecz święty Józef ciebie tu wzywa.
Więc już przy wiejskiej siadłeś zagrodzie,
I po kolana już brodzisz w wodzie —
A grzmi śród ludu już hymn radosny,
Boś zapowiedzią jest pewnej wiosny,
A z nią nadzieja, że wyschną role,
I będzie można z pługiem iść w pole.
Każdy cię wita — jak umie — chwali,
I na cześć twoją kadzidła pali.
Chwali cię każdy — daleki, bliski,
I już łagodzą w chatach kołyski.
Niech cię tam kmiotek wielbi na glebie,
Lecz ja — myśliwy — nie kocham ciebie!
Bo zawsze twierdzę — nie bez przyczyny,
Żeś ty największym wrogiem zwierzyny.
A z twoich czynów wiemy już przecie,
Żeś Faryzeusz najgorszy w świecie.
Że ty świat czyścisz — wiecznie się chwalisz,
A kłusownictwem ciągle się bawisz.
I tak przez kwiecień do końca maja,
Wciąż kuropatwie wypijasz jaja.
Zaręczasz wiecznie, żeś tak cnotliwy,
A jesteś tylko świętoszek ckliwy,
Co to się modli wciąż pod figurą,
A ma — jak mówią — dyabła za skórą.
Jakże nieznośne, twoje przechwały!
Wciąż głosisz światu — żeś jak śnieg biały;
Oczy nam mydlisz! — Słowa twe marne!
Choć z przodu biały — skrzydła masz czarne.
Czerwone nogi nosisz dla zdrady,
By krwi twych ofiar tak ukryć ślady,
A ofiar twoich liczny szafunek,
Idzie na innych ptaków rachunek,
Lub drapieżników, co mają nogi.
Tyś gorszy od nich — bocianku drogi!
Skarżysz — że w gnieździe masz niedostatki,
Że gadzinami li karmisz dziatki...
Wiem ja — w tem gnieździe co się znajduje:
Niech tylko żandarm je zrewiduje.

Gdy ludzie patrzą... pełen nauki,
Bocian kuglarskie wyprawia sztuki:
Więc biegnąc łąką, ma taką minę,
Jak gdyby w trawie schwytał gadzinę...
Aż człowiek nieraz z radości krzyknie...
A on tymczasem... zajączka łyknie!

Czasem przed ludzmi — by zatrzeć slady,
Bierze w dziób żabę — tak... dla parady...
A gdy nikt o nic dalej nie pyta,
Wyrzuca żabę... przepiórkę chwyta!
I z czegoż siebie ty tak wynosisz?
Mów! jaką korzyść światu przynosisz?
Już mnie nie zwiedzie twa cnota sławna:
„Oj! Spiegelbergu!... Znam cię od dawna!“

Stąd cześć dla ciebie jest w każdym Lachu,
Żeś raz miał gniazdo na Piasta dachu.
Ale ja teraz wnioskować ważę,
Żeś i tam usiadł w niecnym zamiarze.
Bo wiemy z kronik... (prawda to święta)
Żeś tam Rzepichy już kradł kurczęta.
A Piast, że ciągle w warsztacie siedział,
O twoich sprawkach wcale nie wiedział.
Gdyby był życia twego znał plamy,
I znał tak ciebie — jak my dziś znamy,
To byłby pewnie — z obawy straty,
Całe twe gniazdo zrzucił z swej chaty.

Też aureola nad tobą świeci,
Bo ponoś matkom przynosisz dzieci,
Lecz — gdy noszeniem tem się zajmujesz,
Czemuż bez sensu w tem postępujesz?
Któżbo tak dzieci niebacznie nosi?!...
Stadło bezdzietne darmo cię prosi...
A niewiem jakie już w tem masz cele,
Że ich gdzieniegdzie znosisz za wiele.
A już najgorsza to kara nieba.
Gdy tam przyniesiesz — gdzie niepotrzeba. —
Z tego ja wniosek wytworzyć muszę,
Że ty masz w sobie — krzyżacką duszę.

Jednak w tradycyi tak dziwna siła,
Tak nam się jakoś w krew, w kości wpiła,
Żebym się nie mógł jeszcze ośmielić,
Jak zbrodniarzowi w łeb tobie strzelić.
Więc ci ostatnią daję przestrogę:
Źle z tobą będzie! — Puszczaj się w drogę!
Bo ja w powietrzu już teraz czuję,
Że się Krzyżakom Grunwald gotuje.
Odleć!... Za nami ukoj swe żale...
A gdy odlecisz... nie wracaj wcale!

Leopold hr. Starzeński.



Spostrzeżenia z natury.*)

II.

Spisał Józef Padlewski.

(*Sokół mordercą słonki — jej obrona. Lis chowany — jego figle*).

Czysta, nie powalana błotem ani mułem, wolna od reumatyzmów, choć po większej części zamieszkujesz dziedziny wilgotne, moczary nieprzystępne, jakże jesteś urocza i powabna, jak ponętna dla myśliwego, słonko! Oddalona od wszelkiego towarzystwa ptąsiego, pędzisz tajemnicze, zakonne życie, gardzisz wszelkimi śpiewami i koncertami ptasimi, bo ślubowałaś samotność, skromność w doborze potraw, czystość obyczajów. Te zasady wszczepiasz w swe nieliczne, bo tylko z dwóch piskląt składające się potomstwo, chronisz je i otaczasz matczyną opieką od złych wpływów nieproszonych gości, chruścieli, drozdów i szpaków, którzy chcą twoje tajemnicze zwyczaje podpatrzeć. Zoczyłaś którego z nich i już zmieniłaś swoją niewinną i skromną postać na groźną, zaczepną — każde pióro twojego pięknego upierzenia podnosi się, stajesz się dwa razy większą, dziób swój długi zwracasz ku przybyłemu, ciekawemu gościowi z okrzykiem: „Nie wchodź tu, natrętniku, w dziedzinę mego cichego klasztoru, bo tu światowcom i lekkoduchom wstęp wzbroniony“. Na takie *dictum*, a jeszcze więcej na widok twoich wielkich, ciemnych, magnetycznych oczu oddalają się: pan derkacz prędkim kłusem w trawy przyległe, drozd, w podskokach baletnika odlatuje na jarzębiny, szpaki, zaśpiewawszy chórem „adieu“ wykonują marsz odwrotny, nie myślą bowiem wystąpić do boju z taką, ich zdaniem poczwarą, najężoną, uzbrojoną nieproporcyonalnym dzióbem. Zwycięstwa twe słonko, łatwo ci przychodzą, gdy masz do czynienia z ptactwem *minorum gentium*, gdyż wyższość twa kulturna, zakonna, obudza w przeciwnikach tylko ciekawych a nie pragnących twego smacznego, wytuczonego na chrząszczykach, ślimaczkach i pożywnym glonie mięsa, szacunek i poważanie.

Inna sprawa, gdy przyjdzie do walki z żarłocznym sokołem, który raz zakosztowawszy twego smacznego, soczystego ciała, przestaje się ubiegać o inne łatwiejsze do zdobycia ptactwo i staje się w jesieni, gdy ciągniesz do ciepłych krajów, twoim nieodstępnym towarzyszem — bawi się w ajenta emigracyjnego — nie obdziera wprawdzie z pieniędzy — ale za to pożera.

Miałem raz sposobność podpatrzyć sokoła, uganiającego się za słonką i jak się ona broniła. Było to jesienią, w miejscu oddalonem od wsi, w lasku ośmiomorgowym, otoczonym ornemi polami. Szedłem brzegiem lasku, w tem spostrzegłem o czterdzieści kroków... kurę. Coby tu mogła kura robić?... przypatruję się lepiej i poznaję słonkę. Siadam zatem pod krzakiem i obserwuję. Słonka nastraszona, zwraca głowę i dziób wysoko podniesiony ku siedzącemu o trzydzieści może kroków na bryle ziemi sokołowi! Za chwilę sokół zrywa się, okrąża swoją ofiarę i siada w innem miejscu. Słonka,

---

*) Patrz Nr. 18. z r. 1902.

ciągle nastraszona zwraca dziób ciągle w kierunku nieprzyjaciela. Manewr ten taktyczny powtarza się kilkakroć i przypomina mi rysunek niezapomnianego i niezrównanego Juliusza Kossaka, umieszczony przed laty w „Kłosach“, a przedstawiający pod Chocimem owego dzielnego Turka, pogromcę kilku naszych, który na swoim białym arabczyku z podniesionym dzirytem oczekuje ze spokojem nacierającego na niego Lipskiego, z którego rąk za chwilę ma zginąć. Żal mi się zrobiło słonki biednej — wyszedłem z zarośli i odpędziłem napastnika — słonka zerwała się także i zapadła w pobliskich zaroślach — sokół poleciał za nią.

Poszedłem po strzelbę i wyżła. Kiedym wrócił uleciał sokół z tego samego miejsca, gdzie słonka zapadła i udało mi się go ubić — słonki nie było. Oglądając bliżej drapieżnika, znachodzę w szponach jego pierze biednej słonki, szukam lepiej w gąszczach i znajduję ja samą zamordowaną.

Jestem pewny, że słonka w szczerem polu napadnięta umie się bronić i odstrasza napastnika dzióbem swoim, który niezwykłym kształtem swoim imponuje drapieżnikowi i wywołuje u niego obawę i respekt. W gąszczach pada słonka ofiarą napastnika, bo widocznie trudniej jej przychodzi manewrować.

Co to za uciecha i zabawa na wsi mieć lisa wychowanego od wczesnej młodości i wykarmionego od szczenięcia mlekiem. Miałem tego dowody — figle i zabawy takiego lisa, wdzięczność dla mnie, przywiązanie i wiara stale mi okazywane, domyślność obok nadzwyczajnej inteligencyi i filuteryi, przechodzą wprost pojęcie. Żadne stworzenie, nawet pies, nie może iść z lisem w porównanie — nic też dziwnego, że jest on dla naszej zwierzyny najniebezpieczniejszym szkodnikiem. Właściwa mu przezorność i spryt uniemożliwiają całkowite jego wytępienie. Trutka i żelazo często zawodzi, bo samice i starsze lisy doświadczone trudne do ujęcia lub otrucia.

Mój „lisio“ zamieszkiwał ogród przy dworze w Libertowie — na zawołanie „lisiu“ zjawiał się galopem, machając kitą w prawo i lewo na znak zadowolenia. Po przywitaniu się, któremu towarzyszyło skomlenie, siadał przy mnie, patrząc mi w oczy, aportował rzucane przedmioty, wyskakując z nimi na ławeczkę — a że i jamnik zwykle mi towarzyszył, zaczynały się harce i gonitwy, przewracania, kłębowania i niby walka, objawiająca się duszeniem za gardło, jednak całkiem nieszkodliwem. Żył z jamnikiem w braterskiej zgodzie i przyjaźni, do tego stopnia, że gdy go nie widział, szukał go skomląc i dotąd to czynił, póki go nie znalazł lub nie zwabił.

Do pokojów przychodził regularnie wieczorem na figle, harce z jamnikiem, aportowanie — nie wchodził jednak drzwiami, lecz okienkiem z piwnicy. po schodach, przez otwarte drzwi piwniczne, któremi dziewki przynosiły wieczorny udój mleka celem rozlania go na misy. Tu już regularnie lisio oczekiwał na nie, pił mleka, ile chciał, odpędzany i straszony szczerzył zęby i szczekał, dziewki uciekały, on za niemi, wprost potem z piwnicy przybiegał do mnie na kanapę i witał się jak zwykle. Po przywitaniu się, raczył mnie ciekawym karesem. Łokieć mój lub noga w fantazyi lisa przybierały postać istoty, którą uważał za godną swej miłości lisiej — objawiał ją też z zapałem nie zważając na bicia i odpędzania. Jestem pewny, że w ten sposób chciał mnie, bo tylko do mnie takie amory okazywał, objawić swoją wdzięczność, przyjaźń i zaufanie.

Wobec domowników zachowywał się bez bojaźni — ale zawsze zapewniał sobie na wszelki wypadek odwrót. Pyszny był wtedy — w oczach i w całem ciele malowała się ta ostrożność — dla rysownika byłby wtedy znakomitym modelem. Dla obcych był zawsze nieprzystępny, niedowierzający — za przybyciem obcego chronił się zwykle pod kanapę lub pod łóżko. Dla mnie zachował niezmienioną przyjaźń i wiarę aż do końca życia. Koniec miał oczywiście tragiczny — ponieważ zaczął znosić kury wiejskie, za które musiałem płacić, kazałem go trzymać na łańcuszku i jednej nocy został przez przybyłe psy wiejskie zaduszony. Żal mi go było bardzo — ale zwykły to koniec chowanych i ulubionych zwierząt i ptaków.

Jeszcze jedno zdarzenie: W ulu, w ogrodzie, zagnieździły się szerszenie; chcąc je zniszczyć, stanąłem sobie z laseczką koło ula i każdego nadlatującego szerszenia zabijałem na wchodnem do ula. Lisio mój oczywiście zjawia się zaraz przy tej operacyi — siada przy mnie i przypatruje się. Raptem skacze w górę może na metr wysoko, łapie nadlatującego szerszenia, zagryza i wypluwa. Powtarza to potem kilka razy. Przestałem sam zabijać szerszenie, przypatrując się ze zdumieniem na mojego lisia, który w jednej chwili zrozumiał, o co chodziło...

Korespondencye.

Dobrohostów, 25. lutego 1903.

Łazy.

Pobudzony korespondencyą z Czerteża, z 4. lutego 1903, w której wzmianka o zupełnie pustych lasach, mimo sąsiedztwa z lasami rządowymi, a to z powodu otaczających łazów, myślę, że nie jeden myśliwy podolak rad będzie przeczytać, co to są łazy, więc jak potrafię zdefiniuję, gdyż pewny jestem, że kto urodzony i wychowany już po lewej stronie Dniestru, nie zrozumie wyrazu „łazy“.

Łazy są to mniej lub więcej kępinami, (brodawkami, kretowinami) pokryte, większe przestrzenie zajmujące nędzne łąki pojedynczych włościan, z użytkiem drzewa, porośnięte jak do położenia i gleby, lepszą lub lichszą trawą — lub tylko paprocią, skrzypami, sitowiem, przetknięte z rzadka smutnej powierzchowności okazami dębiny, brzeziny lub szpilkowców i zachwaszczone mniej lub więcej wiecznie obgryzanymi krzewami leszczyny,

łozy, tarniny etc. — słowem istne pustynie, po których jak rok długi, chłop ciągle łazi.

Skoro śnieg staje, wypędza bydło na paszę, ale tu po sprzęcie jesiennym, gdzie ziemia kosą prawie wygolona, że ani odrobina mchu nie pozostała — goło, że to bydło, póki się trawa nie zazieleni, właściwie tylko młode, w jesieni doszczętnie nie zgryzione pędy na krzakach obgryza. Za bydłem ciągną pastuszki, dzieci włościan obojga płci — chce każdy paść, gdzie mu bliżej i dogodniej, tyle tych pastuszków, ile we wsi numerów, malców i starszych, doświadczeńszych i rafinowanych już szkodników.

Co wieczór zaś o zmroku ciągnie inna serya, słychać nawoływania brzęk fujarek, dzikie krzyki, rubaszne śpiewy — to koniuchy, parobczaki, a w braku tychże i dziewki, prowadzą konie na noclegi, gdzie konie po największej części wolno puszczają, a które w czasie świąt i słot i całymi tygodniami tu pozostają.

Taki stan trwa do Woznesenija lub światoi nedili t. j. zielonych świąt, więc aż do połowy czerwca t. j. prawie przez cały czas pieleszy — a wałęsający się za bydłem, często za jedną krową, którą opiece towarzyszy powierza, pastuch psotnik, wynajdzie wszystko i wszędzie, nic się przed jego okiem nie ukryje; żadne gniazdko ptasie, czy to z jajami, czy pisklętami, nie jest przed nim bezpieczne. Aby trawie dać czas odróść, wypędza się bydło na tłokę, ale że są i tacy, którzy nie mają wcale łąk, więc i całe lato by paśli, a niektóre łąki już od Jura się zamykają — powstają z tego powodu spory, zajęcia bydła, etc.; gdy już bydło ustąpiło, ciągnie chłop, wziąwszy siekierę za pas, grabie na ramię, a woły za wołowód, niby to oczyszczać łąkę, to znaczy zgrabać resztki liścia, które wiatry mu naniosły, bo co było w jesieni zabrał skoro spadło — a właściwie aby prowadząc przez cudze łąki, lub wpędziwszy do lasu woły popaść i w lesie co mu potrzeba upatrzyć, przysposobić, wziąć lub jak się nie uda, w stosownej chwili, jadąc już furą napowrót, to co już przysposobione zabrać, a nieprzydybany na uczynku tylko na drodze, tłumaczy, że to „ze swoho“. Kłusownik ukryje strzelbę na wozie i niby coś oczyszcza, niby coś rąbie, a właściwie śledzi, gdzie się kto ze straży leśnej obraca, a skoro pewny jest, że mu nikt nie przeszkodzi, cóż łatwiejszego, jak puknąć do sarny czy zająca, (choćby z mlekiem) rzucić na wóz, przyrzucić chwastem i czy w dzień, czy o zmroku, lub do dnia zabrać do domu, w którym z ugotowanego, mlekiem zaprawionego kopyry, będzie nie lada przyprawa. O św. Yłiju, t. j. z początkiem sierpnia zaczyna się kośba na łazach, więc chłop idzie lub jedzie kosić, żona jeść mu wynosi, a że psianka ta za kosą schnie, więc co ukosi, do wieczora zagrzebie, a za pokosem już bydełko ciągnie, i znów pastuch, znów głodne bydło objadające krzaki i co między krzakami zostało, aż do śniegu. To jest obszar łazu — a że te łazy położone są między lasami, więc lasy nie są wolne ani od umyślnego czy przypadkowego wpadania bydła, nie wolne od pastuchów psotników, nie wolne od kłusownika, nie wolne latem i zimą od kradzieży drzewa, które bądź na ukryty w łazach wóz wynosi, lub upewniwszy się, że bezpieczny, nawet po nie do lasu wjeżdża.

Gdy się więc zważy, że zwierzyna bądź dla ogrzania się na słońcu, bądź dla żeru, na łazy wypada lub przez te łazy w pole ciągnie, a niektóre jak zając, kuropatwa etc. więcej niż w lesie przesiaduje, lub do stojących po łazach brogów ze sianem, porą zimową tak sarna jak zając pielgrzymki odbywają — gdzie paście, druty, w zbożu ukryty kłusownik, psy, koty, wrony, sroki, lisy i t. p. niszczyciele na nie czatują, można sobie wytłumaczyć brak zwierzyny w rewirach położonych pośród łazów, bo tu straż leśna bezsilną jest, ażeby wobec zupełnego braku poszanowania cudzej własności, osobliwie „na kamrackiem“ t. j. kameralnem, i ledwie jest w stanie las przed kradzieżą drzewa, paszy, trawy, zwierzyny etc. w obrębie granic lasu ochronić. Te łazy to niby parawan, poza którym chłop wykonywać może wszelkie swe niecne praktyki, a chociaż się polowania na tych obszarach gminnych wydzierżawia, nie wiele to pomoże bez straży łowieckiej, i to straży, któraby służbę swą rzeczywiście pojmowała, bo nic to nie znaczy, że dany osobnik służył przy wojsku, że jest porządnym człowiekiem, jeżeli nie stworzony na strażnika, będzie to tylko straż od parady, na którą szkoda wydatków.

Do takich rewirów należy i rewir dobrohostowski, obejmujący 7000 morgów lasu, rzuconego na podgórzu pod działem orowskim; na oko śliczna knieja, poprzerzynana zrębami, zapustami, pagórkami i nizinami, z łąkami, potokami, mokradłami, z naturalnemi słonemi lizawkami etc., gdzie dzik, jak zrodzi żołądź, bukwa, stale, w braku tego żeru, w przechodzie ale zawsze w większych lub mniejszych rudlach, przebywaćby winien, gdzie stan sarn mógłby być świetny, gdzie od zajęcy i innej drobnej zwierzyny roić się powinno, a jednak, pominąwszy polowania na dziki, na których się do innej zwierzyny nie strzela, zwykle rozkład nie odpowiada oczekiwaniom — a winą tego są łazy.

Uwzględnić tu jednak wypada okoliczność, że na tak znacznych obszarach zwierz ma się którędy i rozłazić i nie zawsze tam jest, gdzie polowanie naprzód zapowiedziane.

Józef Worobecki
c. k. leśniczy.

Michowa, 20. lutego 1903.

Czy można na dziki, na podchodne polować.

Przybywszy w listopadzie roku 1902 z niepołomickich lasów do c. k. zarządu lasów w Michowej, w państwie dobromilskiem, natrafiłem w tym roku na silną zimę i wysokie śniegi.

Już zaraz przy odbiorze zapasów mego okręgu, spostrzegłem większą ilość śladów dziczych. Skończywszy odbiórkę, wziąłem się do obchodzenia swego okręgu celem jak najrychlejszego jego poznania i połączyłem moje obchody z tem, by się przekonać, gdzie dziki zalegają — w niedługim czasie odkryłem barłogi.

Pierwszym razem wyszedłszy podczas silnej zawieruchy śnieżnej, z moim legawcem, gordon-setterem, Trollem, może na 2000 kroków od leśniczówki, spostrzegłem, że pies coś węszy, a przytem włos mu na grzbiecie staje – patrzę w tym kierunku, nie mogłem na razie nic zoczyć, a że miałem tylko pół wiatru, obsze-

dłem potok, bym się mógł z dobrym wiatrem bliżej podsunąć — mając podrosty jodłowe jako krycie, podkradłem się dosyć blisko i spostrzegłem dwa dziki, jedną sztukę silniejszą, drugą warchlaka. Przypatrując się dłużej, spostrzegłem jeszcze dwie silne sztuki i siedm warchlaków i pierwszy strzał dałem ze sztućca do silniejszej sztuki. Dzik zrobiwszy kilka skoków, runął, drugi strzał dałem do warchlaka, który jednakże poszedł z farbą jeszcze z 500 kroków, gdzie pies go zastanowił i tu, przed dobiciem warchlaka, widział mój pies, Troll pierwszego dzika i miał sposobność do brania dzików się zaprawić, kilka razy bowiem go przysiadł i za uszy go chwytał, nic dziwnego więc, że później silniejszemu dzikowi skakał na grzbiet i za uszy trzymał.

Drugi raz podszedłem, przy ogromnej zadymce w wysokopiennym lesie, cztery wycinki na 50 kroków, strzelałem naprzód do najdalszej sztuki, potem do drugiej, obie sztuki padły na miejscu kilka kroków od strzału, drugie dwie sztuki dały po kilka skoków tu i tam i na chwilkę przystanęły, może oglądały się, gdzie się ubite podziały i wtedy wsunąłem jeszcze jedną kulę do lufy, którą szczęśliwie także z dobrym skutkiem umieściłem, gdyż i trzeci wycinek, uszedłszy 80 do 100 kroków, runął. Trochę dalej za mną idący ówczesny pomocnik lasowy, obecny leśniczy, Maś, pomógł mi te trzy sztuki na kupę pościągać, na miejsce, gdzie potem po nie wóz wyprawiłem.

Coś podobnego drugi raz zapewne mi się w mojem życiu nie zdarzy.

Ponieważ tej zimy śnieg był wysoki i młodniki śniegiem na wysokość metra zasypane, dziki niechętnie tam zalegały, i spotykałem je na wysokopiennem lesie, w podszyciach jodłowych, lub wierzchołkach złomów. I tak podchodziłem, znając już ich barłogi, z dobrym wiatrem, z moim nieodstępnym Trollem, który je już na 20 kroków wietrzył i kierunek barłogu wskazywał. Bardzo rzadko zdarzyło mi się w barłogu strzelać, najwięcej strzelałem, gdy z jednej uboczy na drugą przechodziły i po największej części udało mi się na drugiej uboczy kulę z dobrym skutkiem umieścić, a to tem więcej, że pod górę, w wysokim śniegu nie były w stanie bardzo szybko uciekać. Gdy zaś mróz był silny, a słońce pięknie świeciło, szukałem ich na kraju lasu w mrowiskach, gdzie się do słońca wygrzewały, ale tu trzeba było na wszystko uważać, a na dobry wiatr jak zawsze, by nie być zawczasu spostrzeżonym. Przekonałem się, że zawsze jedna sztuka, tak jak na wedecie, leżące w koło obchodziła i na wszystkie strony węszyła i do niej też najczęściej strzelałem. Tej zimy ubiłem w opisany tu sposób jedenaście sztuk dzików. Tak samo postępowałem w następnych zimach — jeżeli tylko zima była odpowiednia — ale już nigdy takiego rezultatu nie miałem, bo widząc, że tu nie ma polowania na ptactwo, darowałem Trolla memu bratu, i już nie z taką pewnością wiedziałem, w którem miejscu dziki leżą, bo mi kierunku już nie miał kto wskazać.

Swoją drogą trzeba być do tego zamiłowanym myśliwym, tak żeby żadne trudy nie zrażały. Zdarzyło mi się dwa razy, że odyniec, który nie padł na miejscu, i za którym pójść musiałem, rzucił się wprost na mnie, ale że Troll poskoczył do niego, więc na mnie nie zważał i ja miałem czas, z bliska kulę w łeb mu wpakować.

Podchodzenie dzików udaje się tylko w wielką zimę, gdy są duże śniegi, większe mrozy z zadymkami i to tylko wtedy, gdy śnieg jest miękki i pulchny, bo gdy nie ma wysokiego śniegu ściągają się dziki do najgęstszych młodników, gdzie ich absolutnie podejść nie można, i skąd ich nawet dobra nagonka nie ruszy, chyba, że się ma dobre i cięte psy.

Rudolf Janota.



Żyrawa, dnia 10. lutego 1903.

Muszę podnieść zasługę p. Józefa Asłana, właściciela dóbr Koziny pod Stanisławowem, który swą kniejkę z prawdziwą pasyą myśliwego, doprowadził do bardzo ładnego stanu, co poświadcza rozkład po polowaniu 29. listopada 1902, gdyśmy polowali w 14 strzelb i na 107 strzałów zabili: 1 dzika, 4 lisy i 20 zajęcy. Polowałem tam także przed trzema laty — wtedy knieja była całkiem pustą, a na rozkładzie kilka zajęcy, na kilka strzałów.

Nigdy nie zapomnę trzeciego miotu. Zapust gęsty — linii żadnej — i stojący na jakieś zygzakowatej drożynce wąziutkiej, sąsiad sąsiada nie zawsze widzieć może. To też dusza na ramieniu, a łydki dygotały jak listki osiki. Przed rozpoczęciem miotu była stała przegrywka: „A ty gdzie? pokaż się, ja ciebie nie widzę — aha, już, już, dobrze — a patrz dobrze, gdzie ja stoję, i t. d.“. No, myślę, to doskonałe zameldowanie zwierzynie, że linia dobrze obstawiona, by zwierz mógł, a przecież powinien się zaraz myśliwemu na głos zameldować, usiąść wygodnie przed myśliwym i czekać cierpliwie, aż mu ten w łeb strzeli. W końcu coś podobnego i było. W miocie było dzików 9 sztuk. Z tych jeden najodważniejszy wysunął gwizd na jednego z tych czternastu wybrańców, ten mu na pięć kroków śrótem dwa razy na wiwat strzelił i podpędził go krzykiem: „Pilnuj dzika, poszedł! strzelałem śrótem“. Dzik wyłazi jak brama na drugiego, ale nie tylko miał zaszczyt spotkać się ze śrótem, ale nawet i z kulą, lecz cóż się stało? każdy z czytelników zada sobie to pytanie, na które odpowiem, że śrót poszedł śrótową drogą, a kula gładka, kaliber 12, czy 14 tak z daleka widocznie była widzialną dzikowi, że nim do niego doszła, dzik lekko odskoczył i uszedł pocisku. Tak samo dzika podpędzili dalej: „Pilnuj, dzik, dzik, musi być, strzelałem kulą“ i dzik chciał jeszcze raz spróbować, czy może trzecim razem nie uda mu się przez linię strzelcom przekraść, ale zawiódł się nieborak, spotkał się z mniejszą kulą, bo tylko ośmiomilimetrową, którą to kulę aż trzeci sąsiad posłał mu w okolicę łopatki. Reszta dzików spostrzegłszy dowody takiego niegościnnego przyjęcia, widząc, że tyle razy do jednego z ich towarzyszów strzelają, pędzą jeden za drugim i uznają w końcu za stosowniejsze wynieść się bez strzałów bokiem miotu.

Rogaczy padło tak mało, bo to sensu nie ma, by rogacz 29. listopada już rogi zrzucał — co rudelek to sarna, sarna, sarna, rogów nie ma, same sarny. Oj, był tam jeden rogaczyk, ale to wychowanek gospodarza, który całe dwa lata w pokoju z ręki jadł, wypasł się, wyrósł,

ale zatęskniwszy za towarzystwem uciekł do lasu. Całkiem naturalnie, że strzały go nie doszły, bo polowaliśmy w porze wietrznej, to też śrót wiatr w bok zdmuchiwał i podobnych strzałów było niestety bardzo dużo. A jeżeli już mam całą prawdę powiedzieć, to muszę jeszcze nadmienić, że jeden z towarzyszów przywiózł ze sobą aż cztery ładunki, bo jak powiada przed trzema laty polował w tej kniei i wszystkie do domu nazad przywiózł, a tym razem musiał u sąsiadów się zapożyczać. Ale kochany gospodarzu, żart na bok, dałeś nam doskonałe polowańko, bawiliśmy się doskonale, dlatego w imieniu wszystkich dziękujemy Ci za już, a...

Witold Czajkowski.

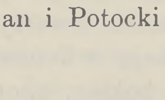
Czortków, w marcu 1903.

Do najpiękniejszych kniei tutejszej okolicy należy Zalesie pod Czortkowem — własność p. Maurycego Feldszuha. Las przeważnie młody obejmujący około 600 morgów, położony tuż obok linii kolejowej, a graniczący z tak znakomitemi kniejami, jak Halileja i Kolędziany. Rocznie tylko jedno polowanie się odbywa. W dniu 30. grudnia 1902 padło 8 kozłów, 2 lisy, 84 zajęcy. Rezultat jak na Zalesie nie tęgi, gdyż zające z powodu odwilży wyprowadziły się w pole, o czem nas przekonał gospodarz, gdyż na próbę wziął niewielką rolę w której było 12 zajęcy. Polowanie to było rekordem towarzystw łowieckich z Czortkowa i z Borszczowa, który jedzak został nie rozstrzygnięty, gdyż członkowie prawie jednakowo strzelali, a wypadło w przecięciu około sześć sztuk zwierzyny na głowę

W dniu 17. stycznia odbyło się znów u p. Józefa Feldszuha polowanie w Borszczowie. Padło 4 kozły, 70 zajęcy. Polowanie znakomicie prowadził sam właściciel. Straż leśna bardzo dobrze wyuczona, prowadziła pogonkę równo, prawie z wojskową dokładnością. Knieja niegdyś bardzo słaba, z każdym rokiem się rozwija i podnosi. Wogóle w naszych stronach doskonale wypadają polowania leśne, a setka ubitej zwierzyny jest na porządku dziennym.

Słonek w roku 1902 prawie wcale nie było, przepiórek bardzo nie wiele — choć urodzaje nadzwyczaj były piękne. Za to kuropatwy dopisały, a są one dla nas pozbawionych prawie zupełnie błotnych polowań, najgłówniejszą jesienną zdobyczą. Stan kuropatw jest u nas w ogóle z każdym rokiem pomyślniejszy dzięki troskliwości towarzystwa łowieckiego, które przez całą zimę kuropatwy karmi, szczególniej zaś dzięki tak dzielnym myśliwym i hodowcom zwierzyny, jak pp. Horodyski z Kolędzian i Potocki z Uhrynia.

J. Ł.



Batiatycze, 5. marca 1903.

Natura odżyła — pierwsze złowróżbne ptaki, co zanuciły spiew radości, to agitatorzy strejkowi i pełno ich wszędzie, tych kukułek złowróżbnych, co w cudzych gniazdach bez pracy jajka niosą, a innym wysiadywać każą. O skowronkach i z nimi, zaśpiewał nam hr. Leopold Starzeński, ten nasz jedyny śpiewak lasów i pól, a z nim odezwały się ptaki błotne: kszyki, kaczki, czajki, jedyny bocian widocznie nie dowierza i oczekuje św. Józefa, podano mi wieść, że ciągną i słonki, ale zdaje się jakoś z bocianem trzymają — relata refero. Z kuropaw pomimo, że ostatnie śnieżne zawieje przyczyniły się dużo, że gdzieś poszły w inne światy, coś i dla nas pozostało; już je parami widać na oziminach — zajączki karnawałują i dość ich widać. Delegat Drahanowski z Kamionki całą secinę serdecznych i pięknych druhów z Czech sprowadził i tak oswojonych, że gdy się jedzie gościńcem, dosiadają na parę kroków, bo widocznie niepoznały jeszcze, co to u nas za potęga, hurmami włóczący się psy, złodzieje i t. p. różne ochronne ustawy dla zwierzyny i kary, za przekroczenia w tym kierunku. Przed kilku dniami zastrzelono lisa; był literalnie obandażowany śrótem, a tak wygłodniały, że jamnik Sabała, dopadł go żywcem, a leśniczy położył kres jego męce. Ponieważ lęg ptaków, a w szczególności błotnych, wkrótce się rozpocznie, podaję opis, jakim sposobem pastuchy, ci mali złodzieje, sprytnie się posługują w celu wybrania jaj. Oto, na kilkanaście sążni długi sznur wloką po łączkach i bagnach, a inni patrzą, skąd ptaki wylatują i całkiem pewnie trafiają na gniazda i zabierają, co jest młodych lub jaj; sposób to prosty, ale pewny, a przypadkiem spostrzegłem taką zabawę w roku minionym i dzielę się z tem z czytelnikami, by zwracać uwagę na tych małych rabusiów, gorszych od jastrzębi i t. p. plag. Cietrzewie zagrają wkrótce śpiew miłości i dziś w ciepłych rankach już się odzywają, a nim pełną piersią zanucą, by dla miłości dać życie, my tymczasem pilnujmy i niezasypiajmy wiosny, by jesień rozkosz nam przyniosła.

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Winniki, 10. lutego 1903.

Rok ten w okolicy naszej, odznaczył się wielką ilością zwierzyny i udanemi polowaniami, dlatego chwytam za pióro, by się podzielić z szanownymi kolegami-myśliwymi wrażeniami mile spędzonych dni, w tegorocznym sezonie polowań w naszej okolicy. Pierwsze polowanie moje, w którem wziąłem udział, odbyło się w Rodatyczach, gdzie od lat kilku poluję i gdzie knieja, pod należytą opieką, z każdym rokiem staje się obfitszą w zwierzynę. W tym roku spotkaliśmy dużo lisów, padło o ile sobie przypominam dziewięć, nadmienić muszę, że na jednem stanowisku wyszły na podpisanego trzy lisy, z których niestety jeden tylko padł.

Polowania w Winnikach, (fundacya pod kierunkiem Wydziału krajowego), dwa w tym sezonie, na których byłem, jak zawsze, tak i w tym roku dały dowód, co może zrobić taka doświadczona ręka, jaką ma p. Antoni Romański, zarządca Wydziału krajowego.

Prawie na przedmieściu Lwowa, wobec takiej ilości inteligentnych kłusowników, utrzymać taki stan zwierzyny, potrafi tylko energia i pilność p. Romańskiego.

Na drugiem polowaniu w Winnikach, w rewirze Dąbrowa, był obecny JE. hr. marszałek Andrzej Potocki. Podziwialiśmy go, jako wzór myśliwego, jego celne strzały i prawdziwe zainteresowanie się polowaniem.

Jak co roku, tak i w tym roku urządzają nam ze sławną staropolską gościnnością polowanie OO. Franciszkanie, właściciele dóbr Czyszki. Zwierzyny było dosyć, bawiliśmy się doskonale.

Ostatnie polowanie w tym sezonie, w którym brałem udział, odbyło się u p. Waleryana Krzeczunowicza, w dniach 28. i 29. stycznia, w Jaryczowskich dobrach.

Pierwszego dnia było jedenastu myśliwych, drugiego dnia trzynastu. Polowanie pomimo, iż ten tak zamożny obywatel, ma cały odpowiedni personal zarządu ogólnego i lasowego, prowadził sam gospodarz wzorowo z mapką czyli planem polowania w ręku. A tak był łaskaw i względny w ustawianiu myśliwych na oznaczonych stanowiskach, że wszyscy strzelaliśmy dużo. Wyjeżdżaliśmy o 10-ej rano, z przerwą jednogodzinną na wyśmienite śniadanie, polowaliśmy do zmierzchu. Mioty brano bardzo szybko, nagonka z chorągiewkami czerwonemi była dobrze prowadzona, znać było, iż kieruje wytrawny myśliwy, który ułożył poprzednio cały plan strategiczny. Zwierzyny dużo padło, w obydwóch dniach 136 zajęcy, 11 rogaczy i 1 lis. Najszczęśliwszymi z myśliwych byli p. Münter z Żurawnik i p. Kanty Stojowski z Laszek. A jak zmienne jest szczęście myśliwego, niechaj będzie dowodem fakt, który podaję z tego polowania. P. Kanty Stojowski do śniadania, drugiego dnia, nie miał spotkania ze zwierzyną, a po śniadaniu tak się szczęście odwróciło, że dogonił w zabitej zwierzynie p. Müntera. P. Münter zabił 3 rogacze i 23 zajęcy, p. Stojowski 22 zajęce i 3 rogacze, robiąc dubletę do dwóch zajęcy. Z żalem opuszczaliśmy piękne salony jaryczowskie, gdzie nam czas tak miło zeszedł wobec uprzejmości i gościnności łaskawych gospodarstwa.

A. H.

Toustolug, 6. marca 1903.

Nawiązując do korespondecyi hr. Br. Starzeńskiego w zeszłym numerze umieszczonej, nie widzę powodu, dla czego mamy wskrzeszać wyraz „tasak", kiedy on jeszcze nie zginął! Żyje w wojsku, na polu i w kuchni. Tasak po niemiecku „Faschinenmesser" nosi przy boku artylerzysta i pionier. Tasakiem mazur i góral, a „tesakiem" rusin i hucuł wyrąbywa z zagona kapustę. Tasakiem rozrąbywa kucharz mięso na stole. Tasakiem oczyszcza się wiklinę i pręcie z bocznych gałązek.

Wyraz ten żyje, więc wskrzeszać go nie potrzeba, lecz raczej użyć go jako zazwę noża, branego przez takiego myśliwego na polowanie, któremu w lesie lada co zawadza.

Z. M.

Bulowice pod Kentami, 6. marca 1903.

Mieux vaut tard, que jamais! mawiają Francuzi. Z powodów odemnie niezależnych, dziś dopiero przesłać mogę sprawozdanie z polowań odbytych podczas sezonu myśliwskiego 1902 w powiecie bialskim, którego delegatem być mam zaszczyt, oraz nieco ze sąsiedniego mego powiatu wadowickiego, wreszcie o jednem polowaniu w powiecie pilznieńskim.

Za porządkiem alfabetycznym zaczynam od:

Bulowic z przyległymi rewirami, które roku zeszłego wyszczególniłem. Większe polowanie odbyło się tylko jedno, 20. grudnia. Śnieg z deszczem i wicher, strzelb 10, nagonki 123. Od 10. do wpół do 1. rewir Nowawieś circa 650 morgów, dwa kociołki i mała nagonka we wiklinach nad rzeką Sołą: 98 zajęcy, 2 kuropatwy, 1 bażant. Po śniadaniu od $2^1/_2$ do 4-ej, rewir Kenty, kocioł pierwszy circa 350 morgów: zajęcy 41, kocioł drugi circa 300 morgów, zajęcy 17. — Razem więc zajęcy 158, kuropatw 2, bażant 1. Królem polowania hr. J. Zborowski.

W roku 1901 padło w pierwszym popołudniowym 73 zajęcy, w drugim 37, pokazuje więc ta wielka różnica ujemna, jak rok ubiegły, fatalny był dla rozwoju zwierzyny.

Zastrzelono wogóle we wszystkich moich rewirach, zwierzyny pożytecznej: rogaczy 5, dzika 1, zajęcy 226, kuropatw 42, bażantów 2, dziką kaczkę 1, chruściela 1, kwiczoła 1, razem 279 sztuk. Zwierzyny zaś szkodliwej: kuna 1, psów 13, kotów 20, jastrząb 1, krogulców 2, sów 4, srok 23, suma 154, z pożyteczną razem 433 sztuk. Nędzny rezultat ogólny w porównaniu do roku 1901.

W Jawiszowicach u J. C. W. Arcyksięcia Karola Stefana, odbyło się także tylko jedno większe polowanie dnia 17. grudnia, w cztery strzelby. Padło 72 zajęcy, 26 bażantów i 2 rogacze. Zaiste nader słaby rezultat wobec licznej straży łowieckiej i bażantarni, wielkim nakładem tamże utrzymywanej.

W Osieku, u pana O. Rudzińskiego, odbyły się dwa małe polowania w sześć strzelb, pierwsze 8. listopada, przy pięknej pogodzie. Zabiliśmy 17 bażantów i 33 zajęcy, drugiego dnia t. j. 12. grudnia, mroźno i wietrzno, 7 bażantów i 22 zajęcy. Zaś 17. i 18. grudnia dwudniówka, przy pogodzie, lecz nadzwyczajnie silnych mrozach, pierwszego dnia w dziesięć strzelb, 18 bażantów i 44 zajęcy. Drugiego dnia w dwanaście strzelb: bażantów 26 i zajęcy 123 sztuk. I tu pokazuje się znaczna różnica z rokiem ubiegłym, gdzie na tych samych polach padło drugiego dnia 185 zajęcy.

Niezły natomiast rezultat spółki mojej ze sąsiadem hr. Stefanem Bobrowskim, w powiecie wadowickim na terytoryum gminy Wieprz, w pierwszym roku jej istnienia, zwłaszcza ze względu na niepomyślne warunki atmosferyczne.

Polowania większe urządziliśmy tylko dwa. Pierwsze 9. grudnia przy silnym mrozie w dziesięć strzelb, nagonki 125 ludzi, obszar opolowany mniej więcej 1500 morgów, padło 102 zajęcy. Królem polowania p. O. Rudziński. Drugie 13. grudnia przy chwilowym ulewnym, deszczu, w sześć strzelb 115 nagonki, obszar opolowany mniej więcej 1200 morgów, padło 58 zajęcy. Gdyby wszyscy zaproszeni myśliwi byli dopisali, byłoby padło co najmniej z 80 zajęcy. Ponieważ cały obszar wynosi

4000 morgów, zostawiliśmy nietkniętych 1300 morgów dla intenzywniejszego rozmnożenia się zwierzyny. W przeciwnym razie mogliśmy byli zabić ze 300 zajęcy. Rezultat ogólny tego polowania: rogaczy 2, zajęcy 160, kuropatw 121, dzikich kaczek 47, bażantów 4, słonki 2, dzikich gołębi 12, przepiórek 4. Ze szkodliwej 1 lis. Razem 353 sztuk. Wykaz reszty ubitej szkodliwej zwierzyny zginął mi.

Oprócz tego polowałem także kilka razy w cztery i pięć strzelb w Andrychowie, z przyległościami hr. Stefana Bobrowskiego. Ponieważ są to rewiry górskie wysoko położone, rozkłady nie mogły być świetne, dlatego nie wymienione. Padło tam jednakże ogółem, podczas zeszłego sezonu 222 zajęcy i jeżeli się nie mylę 17 rogaczy. Piękny rezultat na tereny górskie, świadczący o nader skrzętnej gospodarce łowczej właściciela.

Wreszcie dnia 30. grudnia polowano w Zassowie, w powiecie pilznieńskim, u hr. Tadeusza Łubieńskiego, przy tęgim mrozie i lekkiej śnieżnej zawierusze, której naganiacze się bali, późno się zeszli, tak że polowanie dopiero o wpół do jedenastej przed południem rozpoczęliśmy, a ponieważ prędko się ściemniło, o wpół do czwartej zakończyliśmy. Pomimo krótkiego czasu zabiliśmy w ośm strzelb, 72 zajęcy, co w stronach tamtejszych, zważywszy tereny niskie, mało produktywne za bardzo dodatni rezultat uważać można, tembardziej, żeśmy roku zeszłego na tych samych polach 98 sztuk zabili. Królem polowania hr. Tyszkiewicz.

Z innych rewirów myśliwskich powiatu naszego, a mianowicie z okolicy Białej i Oświęcima, nie doszły mnie żadne wiadomości. Sprzykrzy się to rokrocznie wysyłać w około kurendy i kwestyonaryusze, a niestety gdy sam się nie upomnę, nikt się do mnie nie zgłasza. Jakie były warunki dla łowiectwa w stronach naszych, ogłosił już wyczerpująco p. J. Chwalibóg z Grojca, w artykule swoim, wydrukowanym w „*Łowcu*“ zeszłorocznym na stronicy 223, nie będę więc tych samych utyskiwań za nim powtarzał; dodać mi tylko wypada, że kłusownictwo, a mianowicie zastawianie sideł na zwierzynę, kwitnie nadal u nas z podziwienia godną konsekwencyą i zaciętością. W ubiegłym sezonie uchwyciliśmy szesnastu na gorącym uczynku, a z pewnością wielu innych uszło bezkarnie. Strażnicy zniechęceni, klną w niebogłosy; dopóki nie będzie większych kar, tak długo ta plaga nie ustanie, ale jakoś nikt się o to nie stara, chociaż każdy ma to same przekonanie.

Mamy tu przepyszne rewiry łowieckie w bliskiem sąsiedztwie, w powiecie wadowickim, (Zator, hr. Augusta Potockiego), z bażantarnią. Straż łowiecka wzorowo jest prowadzona i łowczy nadworny, Czech, człowiek bardzo inteligentny w swym zawodzie. W sąsiednim powiecie chrzanowskim mamy Krzeszowice kolosalne obszary. Prawdopodobnie i tam łowiectwo wzorowo prowadzone. Wielka szkoda przeto, że w „*Łowcu*“ nigdy nic o tak pięknych rewirach nie słychać. Wielki nam brak Lewickich.

Adryan br. Larisch

Rozkład polowań w Nestoidzie (własność p. Jurjewicza). W roku 1902 ubili:

P. Jurjewiczowa: bażantów 19, zajęcy 355, razem 374 sztuk.

Hr. Michał Ronikier: bażantów 8, zajęcy 225, lisa 1, królika 1, razem 235 sztuk.

Hr. Kazimierz Stadnicki: zajęcy 178, lisa 1, razem 179 sztuk.

P. Aleksander Russanowski: bażantów 2, zajęcy 208, kozła 1, królika, razem 212 sztuk.

P. Feliks Zdziechowski: bażantów 10, zajęcy 277, lisa 1, puchacza 1, razem 289 sztuk.

P. Aleksander Mikulicz-Radecki: bażantów 2, zajęcy 72, razem 74 sztuk.

Hr. Jan Mohl: bażantów 13, zajęcy 246, kuropatwę 1, jastrzębia 1, sowę 1, razem 262 sztuk.

P. Tadeusz Dachowski: bażantów 12, zajęcy 283, jastrzębia 1, razem 296 sztuk.

P. Henryk Lipkowski: bażanta 1, zajęcy 185, lisa 1, razem 187 sztuk.

P. Władysław Jurjewicz: bażantów 16, zajęcy 259, lisa 1, razem 277 sztuk.

P. Fryderyk Jurjewicz: bażantów 10, zajęcy 263, lisa 1, kota 1, razem 275 sztuk.

P. Jurjewicz: bażantów 14, zajęcy 270, lisów 2, królików 2, kuropatwę 1, razem 289 sztuk. Ogółem 2949 sztuk.

Krechowce, 7. marca 1903.

Dnia 3. b. m. pracujący ludzie w lesie donieśli mi, że pod korzeniami świerka w mchu coś jest, bo za dotknięciem syczy. Poszedłem przeto na drugi dzień rano na wskazane miejsce i począłem laską poruszać mech koło korzeni, ażeby wedle mniemania ludzi, ukrytego tam dyabła wypędzić. Po chwili usłyszałem głośne syczenie, podobne do syczenia gęsi, domyśliłem się przeto zaraz, że znajduje się tam wąż. Chcąc ludziom pokazać tego dyabła, kazałem leśnemu mech zedrzeć, ale widząc, że gajowy nie bardzo chętnie do tej czynności się zabiera, w obawie, by mu „nieczysta siła“ czego złego nie uczyniła, sam począłem mech zdzierać i po chwili, ku niemałemu zdziwieniu ludzi, wyciągnąłem zaskrońca, długości około 80 cm. Położony na mchu, zwinął się w kółko i syczał za zbliżeniem się do niego; był leniwy i ociężały, co wskazywało, że niedawno obudził się ze snu zimowego.

W końcu donoszę Szanownej Redakcyi, że słyszałem już dwa razy, podczas ciepłych dni, tokujące cietrzewie, a działo się to dnia 2. i 6. b. m.

Również dnia 7. t. j. dziś, o godzinie 6-ej wieczorem słyszałem wabiącą się kuropatwę, tuż pod oknami memi, gdy zaś wyszedłem, by dokładniej sprawdzić, uleciała do lasu w zręby.

Marcin Berwid.



Bolechów, 10. marca 1903.

W *„Łowcu“* wyczytałem, że ubito „wydrę-nurka“, o którym dotychczas żaden z myśliwych nigdy nie wspominał.

Prawdopodobnie jestto „norka“, która u nas w potokach leśnych t. z. mładach przebywa, spotykana często w Lackiem szlacheckim, obok Markowiec. Tamże miałem sposobność oglądać skórkę z tej norki i jeśli okaz ten jest pożądany do Muzeum, wskażę adres, skąd łatwo nabyć można, jest ona długości kuny domowej lub smerekówki. Sądzę, że jeśli „wydra norka“ nie jest odrębnym gatunkiem norków, w takim razie jestto norka skrzyżowana z wydrą, a nie wydra z tchórzem; w każdym razie pożądanąby była ilustracya tej wydry-norki w *„Łowcu“*.

W celu rozpłodzenia bażantów należałoby sprowadzić od Horacka jaja bażancie i rozpłodzić w tych okolicach, gdzie ich nie ma. Sądzę, że nie sprawiłoby to wielkich trudności, a sport myśliwski miałby o jedną nowość więcej, gdyż są u nas myśliwi, którzy się postarzeli a bażanta nie widzieli ani na wolności ani w bażantarni.

Daruje Szanowna Redakcya, że zrobię jedną uwagę:

Zamiast umieszczać korespondencye o sarnach i dzikach, (chleb powszedni), o wiele odpowiedniejby było umieszczać artykuły o zwierzętach, u nas jeszcze mało znanych, lub wcale niezbadanych, jak również o ornitologii — dział najciekawszy, a jednak wyraźnie zaniedbany, n. p. wyświetlić raz na zawsze, czy istnieją dwa gatunki borsuka, w danym razie postarać się o okaz do muzeum, wydry-nurka, z ptaków: pustynnika, przynajmniej ilustracya tego ptaka ogromnie pożądana w *„Łowcu“*, zaprzeczyć raz na zawsze twierdzeniu, jakoby wróbel leśny, czyli samotny, którego sam ubiłem — nie istniał i t. d. i t. d. *Konopacki.*

Z towarzystwa myśliwych im. św. Huberta we Lwowie.

Możnaby tomy całe zapisać faktami, jak nasze władze polityczne, sądy karne i cywilne lekko i łagodnie traktują sprawy kłusownictwa i kradzieży zwierzyny. Słowem w ciężkiej walce, jaką staczają hodowcy zwierzyny z kłusownikami — żadnego ze strony tych władz poparcia. Jednym i jedynym prawie organem, ochraniającym własność myśliwską jest żandarmerya. Ale niestety, snać i ona nie wszędzie i niezbyt znaczne chyba tej gałęzi gospodarstwa krajowego oddaje usługi, skoro tak cicho o tem w łamach *„Łowca“*. A może poniekąd i nasza w tem wina z racyi, że faktów zasługujących na uznanie i wdzięczność w organie naszym nie podnosimy — a wszak każdy trud i gorliwość w spełnianiu ciężkich obowiązków zasługuje na szczerą wzmiankę w *„Łowcu“*, która niewątpliwie miłą może być nagrodą moralną dla tych, którym w żadnej innej formie premii przyjmować nic wolno.

Otóż właśnie na taką moralną nagrodę i to w pełnej mierze zasługuje posterunek żandarmeyi w Mikołajowie, a w szczególności tamtejszy podoficer (postenführer) Gaciarz. Jego to energii zawdzięcza wyżej wymienione Towarzystwo sześć konkretnych faktów przyłapania kłusowników, wykrycia zbrodni kradzieży zwierzyny i łapanie jej na druciane pętle i w żelaza.

Poczucie sumiennego spełnienia obowiązków u tego dzielnego człowieka jest wprost imponujące. Oczy jego nie umieją patrzeć przez palce na nikogo — nawet na czyny kolegów broni. Oto fakt: Pomieniony żandarm (Postenführer), wracając 30. października z. r. ze służby, usłyszał strzał na terenie polowań Towarzystwa w Mikołajowie, a zdążywszy pośpiesznie do miejsca, skąd odgłos strzału płynął, spostrzegł, że kilku żołnierzy ze stacyi stadniny w Drohowyżu, biorących tam piasek — uganiało za czemś po polu. Po niedługiej chwili nadjeżdża z tego pola wóz wojskowy napełniony piaskiem, na którym siedzi podoficer rzeczonej stacyi, Józef Benda w otoczeniu kilku żołnierzy. Dzielny żandarm, zatrzymawszy wóz, pyta się Bendy, kto na tej górze strzelał na co otrzymuje odpowiedź: poczmistrz z Mikołajowa, żołnierze zaś pomagali mu łapać postrzelonego zająca; żandarm jednak nie daje się zbić z tropu tą odpowiedzią, lecz ściąga rozłożony na furze płaszcz wojskowy, pod którym znajduje lankastrówkę. Ale temu strasznemu człowiekowi — (zdanie Bendy) — to nie wystarcza, bierze więc do rąk utkwioną w piasku łopatę, zagłębia ją kilkakrotnie i jak dobry jamnik wygrzebuje z piasku potężnego kopyrę. P. Zugsführer Benda irytuje się i stawia opór, ale p. Gaciarz nie zna w służbie kamrata więc po krótkiej komendzie: Benda z zającem w ręku pomaszerował pod eskortą dzielnego wykonawcy prawa do mikołajowskiego posterunku żandarmeryi w celu spisania z nim protokołu.

O fakcie tym zawiadomiło rzeczone Towarzystwo żydaczowskie Starostwo, prosząc o przeprowadzenie dochodzenia i ukarania tego kłusownika po myśli §. 76. ust. łow. za przekroczenie §§. 30. i 80. tejże ustawy, względnie o odniesienie się w tej sprawie do przełożonej komendy wojskowej w Drohowyżu.

Po otrzymaniu od Starostwa wiadomości o wyniku załatwienia tej sprawy udzieli jej Towarzystwo łamom *„Łowca“* *Sew. Kroy.*

LITERATURA.

W Lipsku u *Seemana* pojawiła się książeczka pod tytułem „Jadgbilder aus alter und neuer Zeit, aus dem Polnischen, bearbeitet von Johann Praun. Zawiera ona tłumaczenia z artykułów w *„Łowcu“* umieszczonych, a więc „O wynalezieniu prochu“ Kochanowskiego, „Pogadanki łowieckie“, „O zmysłowej organizacyi zwierząt“ Wodzickiego“, „O puszczy białowiezkiej“ Łozińskiego, „O Polesiu i o bobrach na Litwie“ Bartelsa, „O wilii na Otrycie“ Ubysza, „O polowaniach na niedźwiedzie“ Leszczyńskiego, „Obrazy myśliwskie z dawnych czasów“ Wójcickiego i kilka innych. Tłumaczenia są z taką znajomością języka polskiego i niemieckiego dokonane, że czyta się je jak oryginały, co jest największą pochwałą, jaką o przyswojeniu jakiemuś językowi płodów w cudzym języku napisanych, wypowiedzieć można. Tłumaczowi, znanemu zaszczytnie z przekładów dzieł Sienkiewicza i „Notatek myśliwskich“ hr. Potockiego należy się wdzięczność za widoczną sympatyę dla łowieckiej literatury polskiej.

DROBNE OGŁOSZENIA.

Jest do sprzedania jamnik czarny, rasy niemieckiej, krótkowłosy, dwa lata mający, do polowania na zające i sarny — dobry jako stróż domowy, cena 20 kor. Wiadomość Józef Gödel, Lwów, Piastów 23.

Kalendarz myśliwski leśny i rybacki na r. 1903, już opuścił prasy drukarskie. Zawiera obfity dział myśliwsko-leśniczy. — Do nabycia u p. A. Dzikowskiego, ul. Karola Ludwika l. 1.

PARCELE

od ul. Kopernika, Leona Sapiehy i Sykstuskiej l. 47 są z wolnej ręki, po cenie przystępnej, DO SPRZEDANIA. Położenie parcel piękne i zdrowotne, elektryczny tramwaj tuż.

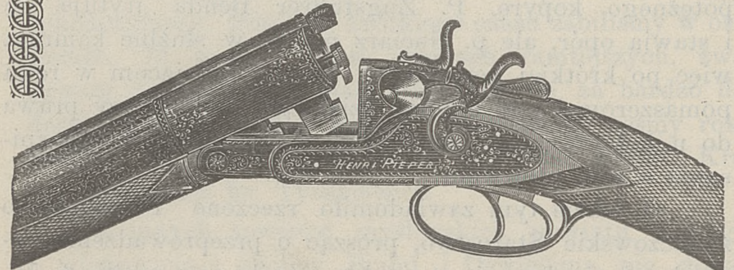
Informacyi udziela właścicielka: A. Miączyńska Lwów ul. Sykstuska l. 47.

MŁODZIENIEC lat 18 z ukończoną szkołą wydziałową poszukuje posady praktykanta lasowego. Łaskawe Zgłoszenia „S. G.“ poste restante Gdów.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Główny skład nasion i roślin

Jana Klimowicza

Hotel Georgea we Lwowie

poleca

Nasiona traw,

warzywne i kwiatowe najlepszej jakości.

Rozsadki warzywne i kwiatowe

po nader niskich cenach.

NAWOZY SZTUCZNE

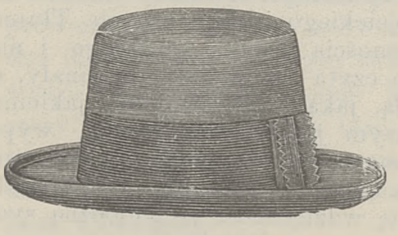
SUPERFOSFATY Z CZYSTYCH KOŚCI, MINERALNE I AMONIAKALNE, ORAZ MĄCZKĘ KOSTNĄ I

ŻUŻLE PRAWDZIWE WYSOKO PROCENTOWE

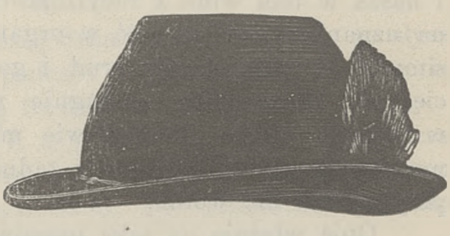
Z GWARANCYĄ ZA ZAWARTOŚĆ I JAKOŚĆ SKŁADNIKÓW I Z DOSTAWĄ NIEZWŁOCZNĄ

DOSTARCZA NAJTANIE

BANK ROLNICZY WE LWOWIE.



KAPELUSZE, FILCOWE, LODENOWE I SŁOMKOWE. CZAPKI WSZELKIEGO RODZAJU. SZTYLPY, MESZTY I KALOSZE PETERSBURGSKIE.



POLECA

Kazimierz Bielczyk

LWÓW, Halicka l. 21. Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Józefowicz.